

WIEŚ TWORZĄCA

Dodatek Literacki do „Powiatu Słupskiego” * Nr 9/2003 * ROK I

Emilia Zimnicka, Izbica



Cud Narodzenia

Światło rozbłyśnięte...
Nad pomorską ziemią
Chrystus maleńki...
Urodził się w żłobie...
Taki bezbronny...
Wśród srogiego śniata...
Jednak hołd
O Dziecinie
I dary bogate...
Niosą ze Wschodu...
Mędrcy i królowie

Znów nowa zima...

Znów nowa zima... świeży śnieg...
Przysypie starych wspomnień czar...
Czas się rozpędził...
Jego bieg...
Zbliża do mety...
Której kres...
Każdego z nas...
Za ciemną ścianą lasu...
Czeka
Nikt nie wie z nas...
Nie zgadnie nikt...
Czy droga bliska
Czy daleka

DOBRZE MIAŁ TEN ANIOŁ

Grudzień na wsi to zapach rozgrzanej obory, pomrukiwanie bydła zdziwionego nową sytuacją. Bo przecież jeszcze czuje zapach trawy, która przy ziemi pachnie najbardziej. Jeszcze w uszach świszczy wiatr, który harcuje na pastwiskach, a tu w oborze sucha pasza, łańcuchy na szyjach.



Ciekawe czy Święta Barbara będzie "na lodzie czy na wodzie", bo to wróży pogodę na święta. Na Boże Narodzenie przydałyby się nowa firana, może jakiś dywanik. Mąż patrzy na ten zamiar niechętnym okiem, bo przecież "jeszcze wszystko jest dobre". Co ta kobieta tam wymyśla? Jest wiele bardziej potrzebnych rzeczy w gospodarstwie. O! chociażby taki opryskiwacz, jaki kupił Gradek na wiosnę...

Święta każdy chce przeżyć przyjemnie, po swojemu. Chociaż przeżywamy je tyle razy ile mamy lat, to za każdym razem są inne, mniej lub bardziej nastrojowe, czasami smutne po stracie kogoś bliskiego, to znowu wesole. Te z czasu dzieciństwa są zawsze najbliższe sercu. Jak bardzo chciałoby się chociaż na kilka chwil wrócić do tamtych lat.

Dzieci po cichutku żywią nadzieję, że Mikołaj nareszcie odgadnie ich życzenia i przyniesie w worku to, o czym od dawna marzą. Mikołaj? Dawno przestały wierzyć już w jakiegoś przebranego brodacza w kozuchu, którym był dziadek. Z dziadkiem sprawa nie jest łatwa. On wszystko wie, zna każde przewinienie. Gotów popsuć całe święta. Wiedział jak Marek, mimo zakazu, poszedł na ryby w niedziele zamiast do kościoła i jeszcze o mały co, by nie utonął. A Kasia, ta wzorowa uczennica przyniosła dwóję w dzienniczku. Pani zostawiła ją po lekcjach, był taki wstyd, że jeszcze dziś uszy płoną. Najlepiej miał Piotrek, jemu się wszystko zawsze upiekło, nawet jak zbił ulubiony dzbanek

mamy, nie oberwał, bo wiadomo, najmłodszy.

W Wigilię od rana czuje się dziwną atmosferę, wszyscy są jacyś podnieceni. Dziadek i tata po rannym obrządku nacięli sieczki w stodole, żeby nie brakło dla krów na święta, narąbali drew, bo już po obiedzie w Wigilię nie należy nic robić w gospodarstwie. Coś tam jeszcze między sobą radzą, że pojedą do lasu, bo zostało tam trochę drewna wykupionego w Nadleśnictwie, którego nie zabrali i dobrze byłoby przywieźć. Przy okazji przywiezou dzieciom drzewko na choinkę. Może chodzi też o to, żeby zejść gospodynii z oczu. Pieczenie placków świętecznych to dość nerwowe zajęcie. Nie daj Boże będzie zakalec, to całe nieszczęście przypisze dziadkowi. Zresztą, tata też by mógł trochę pomóc, oczyścić rybę, nanieść z piwnicy ziemniaków, warzyw. Dzieci muszą być tego dnia grzeczne, bo jak któreś oberwie ścierką, to będzie to wróżyło rok niepomysłny.

Nareszcie wszyscy siadają do stołu. Pchnie choinka. Trochę siana wystaje spod białego obrusa. Mama założyła ładną bluzeczkę, tata ogolony. Tylko dziadek trochę smutny. Babci nie ma już piątą Wigilię... Ale Piotrek gramoli mu się już na kolana i obejmuje za szyję. Po życzeniach nawet niezbyt lubiane potrawy znikają z półmisek bez szemrania, a po nich, to już same to dobre: kluski z makiem stodziutkie, że palce lizać, pierożki, sałatki...

Oho, słychać jakieś szuranie w sieni, ktoś puka do drzwi i Bartek dziwnie ujada przy budzie. Czyżby to naprawdę był prawdziwy Mikołaj? Najprawdziwszy, z workiem pełnym prezentów. Każde dziecko zadowolone. A po kolacji wszyscy idą na Pasterkę. Zmarznięty śnieg chrzęści pod nogami. Niebo roziskrzone gwiazdami. Ciekawe, która to prowadziła do stajenki. Wokoło ludzie, ciemne punkciki na tle białego śniegu. Pewnie cała wieś przyjdzie do kościoła, gdzie Pan Jezus leży w żłobie nagusiańki. Ze też musiał się urodzić, kiedy jest tak zimno. Mówią, że krowy na Niego chuchały i siankiem był okryty. Dobrze miał tylko ten anioł, co ponad stajenką sobie fruwał. Piórami mógł się okryć.

Henryka Jurałowicz
Człuchy

WIECZÓR PACHNĄCY ŚWIERKIEM



W dzień wigilijny najważniejsze, co ma zrobić tata to oprawić choinkę. Ze składziku przynoszą stary, niepotrzebny już, ciężki tryb i tata nabija go na trzon drzewka. Takiego oprawionego chojaka tata stawia następnie na środku kuchni i przygląda mu się uważnie z każdej strony. Po kilku minutach już wie, gdzie i którą gałązkę trzeba doprawić, a którą wyciąć. Tata zawsze z własnego lasu, oprócz chojaka, niesie jeszcze kilka zielonych gałązek na zapas.



Z piwnicy przynosi ostry szpikulec i rozgrzewa go w ogniu do czerwoności. Wypala nim dziurę w chojaku, do której następnie wkłada odpowiednio przyciętą zieloną gałązkę. Po takim kilkakrotnym zabiegu, chojak jest już gotowy i można postawić go w pokoju.

Do lasu po chojaka tata chodzi sam, ale mnie też czasem z sobą zabiera. Mój tata lubi chodzić zimą do lasu i ja też lubię, kiedy mnie z sobą bierze. Las zimą jest cały biały i można napotkać w nim różne zwierzęta leśne. Ale za ładnym chojakiem trzeba się zawsze dobrze nachodzić. Nieraz nogi bolą już od wysokiego śniegu, spodnie się przemoczyły, do butów nasypało się białego, a chodzić jeszcze trzeba. Drzewka pokryte śniegiem z daleka wszystkie wyglądają ładnie. Ale otrząśniesz śnieg, już drzewko ścinać chcesz i dopiero widzisz, że jest brzydkie. Więc chodzisz dalej i szukasz.

Lubię chodzić z tatą do naszego lasu, bo kiedy tak idziemy, tata opowiada mi o różnych ciekawych rzeczach i zdarzeniach. Zwierzęta wychodzą nam na spotkanie, a kiedyś to tak się zagadaliśmy, że złapał nas zmrok i nie mogliśmy wyjść z lasu. Było już ciemno, a tata nie znał dobrze drogi. Pomogły nam gwiazdy, na które się kierowaliśmy. Szliśmy też po śladach saren i jeleni i one wyprowadziły nas z lasu na pola. Dalej tata już wiedział jak iść. W lesie dużo jest różnych krzyżujących się dróg, zimą wszystkie zasypane śniegiem i nie wiadomo, którą się udać. Myślisz, że wybrałeś dobrze, a po jakimś czasie wracasz w to samo miejsce i błądzisz. Jakbyś w jakieś koło magiczne wszedł i nie wiesz jak się w nim poruszać. Tak ciągle zwracając sam sobie strachu dodajesz i boisz się, że możesz nigdy z niego nie wyjść.

Ale mój tata zawsze wraca z lasu do domu. Mam dobrego tatę i dobrą mamę. Najlepiej lubię, jak mama przygotowuje na wigilię ruskie pierogi. Wszyscy je tu tak nazywają, ale tak naprawdę to są nasze, najprawdziwsze polskie pierogi z serem lub kapustą z grzybami. U nas w domu wszyscy je bardzo lubimy, i na wigilię zawsze się nimi zajadamy. Tata nawet mówi, że dla niego nic więcej mogłoby nie być, bo najważniejsze, żeby były pierogi. Lubi też te

serem, i te z kapustą, z grzybami.

Wigilię Bożego Narodzenia obchodzi się u nas uroczyście, nie ma ważniejszych świąt jak narodzenie Pana. To rodzinne święta i wszyscy się wtedy zjeżdżają, i robimy sobie prezenty pod choinkę. Mama z drugiego pokoju przynosi duży worek z prezentami i stawia pod choinkę. Wtedy któreś dziecko - a robi to zawsze te najmłodsze, które już czytać umie, bo każda paczka podpisana i należy odczytać z niej, dla kogo została zrobiona - podchodzi do tego dużego wora i wyjmuje z niego paczkę za paczką i roznosi każdemu. Jak wszyscy się zjadą to każdy każdemu jakąś paczkę przygotowuje, i to roznoszenie prezentów trwa bardzo długo. Jest to najprzyjemniejszy moment w wigilię Bożego Narodzenia i wszyscy się wtedy bardzo cieszymy.

Kiedyś po domach chodziły święte Mikołaje i roznosili dzieciom prezenty. Ale teraz, tata mówi, że świętym Mikołajem na wsi nie chce nikt być. Dzieci już też niegłupie i wiedzą, że to tatusie i mamusi przygotowują im paczki. Ludzie teraz na wsi jakieś inne, niż kiedyś. Każdy żyje tylko dla siebie. Kiedyś sąsiedzi w święta wzajemnie się odwiedzali i nawet na wigilię prosili do siebie. O świętych Mikołajów było łatwiej. A teraz każdy świętuje w domu sam.

Dawniej z królem Herodem się chodziło, z gwiazdką betlejemską i na trzech króli też zawsze wszyscy świętowali. Kolednicy całe wieś odwiedzali, żadnego domu nie ominęli. Na wsi było o wiele weselej. Tata często wspomina jak chodził z Herodem. Od tamtego czasu już tyle lat, a tata jeszcze swoje tamte role pamięta i wyśpiewuje je czasem.

Ja także chodzę z Herodem z chłopakami, nauczyłem się go od taty. Ale nie wszyscy przyjmują nas w domach. Niekiedy drzwi przed nami zamykają. Kiedyś na Nowy Rok zimne ognie na drzewce rzucaliśmy, o tak: kto wyżej, kto dalej. I jeden taki roziskrzony ogień spadł na Błazejczakową stodołę i papa się zajęła, pożar by był i pewnie dostalibyśmy tęgie lanie. Ale Maniek od Antczaków szybko złapał drabinę, wszedł na dach i ogień ugasił. Gołą ręką kawałki palącej się papy rwał i odrzucał. Dwa tygodnie nie mógł nic robić, i lekcji nawet nie odrabiał, bo cały nadgarstek miał poparzony.

W święta zawsze robimy różne kawały sąsiadom, a najwięcej w sylwestra przed Nowym Rokiem! To już taka tradycja. Tata, kiedy był młody też tak robił. Robimy wszystko, co może zadziwić, a największe zbytki to sprawiamy gospodarzom: wyciągamy im maszynę z podwórek na pola. Jak zostawią na zimę w polu, to do lasu zaciągamy, albo w krzaki i muszą szukać. I już więcej na polu maszyny nigdy nie zostawiają. Wyciągamy też rowery z szop, jakieś mniejsze narzędzia i wieszamy na drzewach tak, jak wieszają się bombki na choince. Potem gospodarze rano wstają i śmieją się jeden z drugiego, każdy swojej rzeczy szuka. Tata opowiadał mi, że oni kiedyś wyprowadzili sąsiadowi wszystkie krowy z obory i zamknęli w oborze innego gospodarza. Dopiero był zdziwiony, kiedy rano przyszedł do udoju, a tu krow nie ma, tylko puste miejsca. A innym znowu razem to wóz gumowy na części rozebrali i na dachu stodoły złożyli. Dopiero gospodarz miał robotę! A ile przy tym nazłozeczył, przeklinał.

W dzień wigilijny mama już od rana przygotowuje kolację, robi ostatnie zakupy. My z tatą oporzędzamy zwierzęta: wyrzucamy obornik, ścielimy suchą słomą, szykujemy zwierzętom karmę na kilka świątecznych dni, żeby była już gotowa. Kiedy tak krzątamy się po gospodarstwie tata opowiada mi o dawnych świątecznych zwyczajach i nuci stare koledy. Jest taki miły nastrój i bardzo dobrze pracuje się nam razem. Jak zacznie się ściemniać, to ja idę do domu ubierać choinkę. Jej strojenie to mój przywilej, nikt tak w domu nie potrafi ubrać choinki jak ja. Wieszam dużo kolorowych lampek, bombek i cukierków. Wtedy każde drzewko jest ładne. Orzechy włoskie także podkreślają święta i wiszą zawsze na naszej choince. A na czubie znajduje się duża świecąca gwiazda. Dawniej nie było lampek elektrycznych i do gwiazdy zrobionej z tektury wkładało się normalną, tylko pomalowaną żarówkę. Tata podłączał ją do gniazdko z prądem i taka świeciła. Teraz wkłada się jedną żarówczkę od lampek i też jest ładnie, a nawet dużo ładniej, bo pozostałe żarówczki oświetlają całą choinkę. Ja bardzo lubię, kiedy lampki świecą się przez cały dzień.

Choinka to symbol świątecznego dobrobytu każdej rodziny. Po jej ubiorze widać czy rodzina jest biedna, czy bogata i na co ją

stać. Jaki ma stosunek do tradycji. Tata mówi, że są bardzo bogate rodziny a na święta Bożego Narodzenia nie robią choinki, albo stawiają w domu małą choinkę - plastikową. Nie chce się im pójść do lasu i przynieść żywego świerka a potem oprawić go w stojak. Wolą kupić gotową, już oprawioną. Boją się też, że żywy świerk nabrudzi im w domu. A u nas na wsi przynosi się nie tylko żywego świerka do mieszkania, ale również słomę i siano, które wkłada się pod obrus na stole. Tata mówi, że to także związane jest z tradycją. Na takim sianie urodził się Pan Jezus. Żywa choinka z lasu już sama dodaje uroku. Inne z nią święta, niż ze sztuczną. Niektóre rodziny biedne a stroją bogatą choinkę.

Po kolacji idziemy na pasterkę. Na dworze mróz w nos szczypie, śnieg pod butami chrobocze. Ale my wszyscy idziemy, nie boimy się mrozu. Z każdego domu ktoś idzie, jadą też samochodami. Wszyscy chcą się pokazać w nowych strojach i powitać Nowonarodzonego. My z tatą idziemy zawsze piechotą. W kościele zawsze jest pełno ludzi i nie ma gdzie stanąć. W ławkach pełno, na chórze, pod chórem, pod ścianami. Nawet na dworze stoją. Przez cały rok nie grają organy, ale tego dnia zagrają. Na Boże Narodzenie organista zawsze do nas przyjedzie. A kiedy już zagrzmia, zadzwonią wszystkie dzwonki, rozlega się "Dzisiaj w Betlejem", a na koniec: "Podnieś rączkę boże dziecię". I wtedy wszystkie te męskie-głosy, które nigdy nie śpiewają, zaczynają śpiewać. Zaryczą chłopskie basy i wtedy jakby ci ktoś coś zimnego do serca przyłożył. Czujesz w sobie chłód i gorączkę zarazem. Na dworze zima, mróz, ziąb, a tobie nagle robi się ciepło, miło. Za duszę coś chwytą i gardło ścisną. I wtedy wiesz, że nie jesteś sam. Na złamanie karku byś poszedł, życie byś oddał. Wiesz, że są święta.

Z. Babiarz-Zych, Słupsk

Pozostało puste miejsce przy stole

SZLACHETNY PTAK MILCZENIA

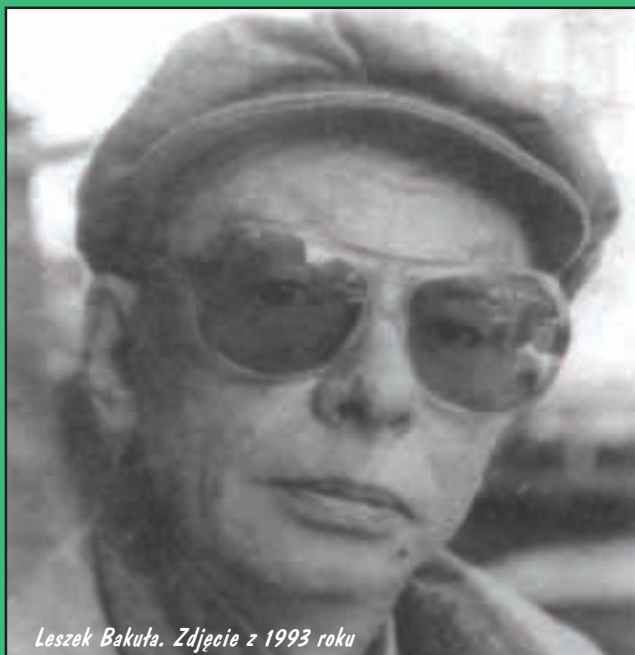
Kurpie, Ostrołęka - to jeden świat. Pomorze, Słupsk - to drugi. I trzeci Ustka - miasto rodzinne. O kim piszę, czy raczej kogo chcę wspomnieć. Wiadomo, Leszka Bakułę. Poetę i pisarza o wielkim sercu, który ma zarezerwowane miejsce w pamięci u wielu ludzi.



Esej, który chcę napisać jest jakoby na zamówienie. Zaproponował mi go Zbigniew Babiarz-Zych. Ale i bez tej propozycji, od dawna chodziło mi po głowie, takie wspomnienie o Leszku. Patrzę na jego książeczki poetyckie, które przede mną leżą, i po kolei podaję tytuły, według lat wydania: "Leluje" - Wydawnictwo Poznańskie (1968); "Połów horyzontu" - Wydawnictwo łódzkie (1972); "Kontrapunkt" - Wydawnictwo Poznańskie (1977); "Rzecz polska" - Wydawnictwo Literackie "Baltic" w Słupsku (1989); "Golgota" - Ustka (1993); "Ziemia i morze" - "Agora" Słupsk (1995). To te, które ja mam. A przecież to nie wszystkie. Jest jeszcze: "Czerwony bór" - LSW (1971), "Czarny bór" - LSW (1974), "Biały bór" - LSW (1977) - to powieści. Tę trylogię wydano w całości, pod tymi samymi tytułami, w 1980 roku. Zrobiła to też LSW. Rok później ukazała się drukami najważniejsza w karierze literackiej Leszka powieść pt. "Wizna", którą wydało Wydawnictwo Poznańskie. A są jeszcze opowiadania: "Wydmurzyca" - Iskry (1972); "Wyśniło się" - Wydawnictwo Poznańskie (1988).

Zaglądam do tomiku wierszy "Leluje". Na stronie 5, gdzie dedykuje tę książeczkę Leszek Bakuła swojej "Zonie Krystynie", jest jego własnoręczny wpis piórem, o tej treści: "Moja miłość pierwsza - Ostrołęka i Kurpie. Czytelnikom Biblioteki w Ustce - Leszek Bakuła. U. 26. X.1993". Chyba jakieś fluidy naprowadziły mnie na ten tomik i tę dedykację. Leszek mówi o w niej o swojej tej pierwszej miłości, skąd pochodzi rodem. I ja zupełnie nieświadom tego napisałem na początku, że Ostrołęka i Kurpie to dla niego pierwszy świat...

Zaglądam do tomiku wierszy "Leluje". Na stronie 5, gdzie dedykuje tę książeczkę Leszek Bakuła swojej "Zonie Krystynie", jest jego własnoręczny wpis piórem, o tej treści: "Moja miłość pierwsza - Ostrołęka i Kurpie. Czytelnikom Biblioteki w Ustce - Leszek Bakuła. U. 26. X.1993". Chyba jakieś fluidy naprowadziły mnie na ten tomik i tę dedykację. Leszek mówi o w niej o swojej tej pierwszej miłości, skąd pochodzi rodem. I ja zupełnie nieświadom tego napisałem na początku, że Ostrołęka i Kurpie to dla niego pierwszy świat...



Leszek Bakuła. Zdjęcie z 1993 roku

Nie jestem w stanie omówić całej jego twórczości w tym jednym eseju, dlatego zacznę od wiersza "Legenda z ognia", który zadedykował Annie Kamińskiej. Czytam w nim: "Padło na wieś ciemnością / bezlistne drzewo piorunu / (...) Wyniosłem anioły pierzyn / ze skrzydłami dymu". W wierszu "Matka" znajduję opis ciekawego wydarzenia: "Pióro topoli zatknęła / w zielony kapelusz pół / Błyskawicami igły / spod serca śmigająca w niebie". Zgrabna jest też metafora rozpoczynająca wiersz pt. "Cykuta": "powstały włosy na kamieniach / uwite z wiatrów półuschniętych". Tak samo poeta zaskakuje w wierszu "Definicja": "tworzyłem cię z kropel myśli / z oddechów przypadłych do ziemi".

Patrzę, w jakim nakładzie ukazał się ten tomik. Przypominam był to rok 1968. I czytam: 800 + 150, razem 950 egzemplarzy! Mój Boże, dziś takie wydanie to dla autora skok do nieba! Czyżby naprawdę w owym czasie ludzie czytali poezję? Ja wtedy miałem 20 lat. Pamiętam z tego czasu przeboj Kosowskiego, muzyka grającego na saksofonie i śpiewającego. Bodaj ma na imię Maciej. Napisał taki temat: "Ja mam dwadzieścia lat, / ty masz dwadzieścia lat, / przed nami siódme niebo". Tak, to były słynne "Dwudziestolatki". Leszek Bakuła miał wówczas 38 lat i debiutował tomikiem "Leluje".

Przy lekturze drugiego tomiku "Połów horyzontu" można się o poecię więcej dowiedzieć, a mianowicie, że ukończył Liceum Ogólnokształcące w Ostrołęce. Studiował na Uniwersytecie Warszawskim uzyskując stopień magistra polonistyki, a następnie pracował jako nauczyciel wiejski w Łopusznie, w województwie kieleckim, potem w Ustce i w Słupsku. Za działalność społeczną i oświatową otrzymał w roku 1958 Złoty Krzyż Zasługi oraz szereg innych wyróżnień. Był w 1965 roku założycielem ośrodka wojewódzkiego Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy. Był nawet członkiem Krajowej Rady KKMP. Był także aktywnym działaczem Klubu Literackiego ZNP w Koszalinie, laureatem licznych konkursów literackich, m.in. Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji w Łodzi. Uprawiał publicystykę na łamach "Tygodnika Kulturalnego".

Zaglądam na pierwszą stronę tomiku „Połów horyzontu” i znowu znajduję własnoręczną dedykację autora: "Mitość Ojczyzny zaczyna się od miłości ojczyzny najbliższej - miejsca swego narodzenia i dzieciństwa. Czytelnikom Biblioteki w Ustce, Leszek Bakuła. U. 26.X.1993." Tomik ten dedykowany jest ponownie "Zonie Krystynie". Widać, że musiał mocno i wiernie ją kochać... Na stronie 12 w wierszu bez tytułu, poświęconym matce czytam: "pod ścianą trumny żywicznej / stracono moje myśli / przez powieszenie na sznurze / z łez ukręconym / za wcześniej się przerwał - / gdzie tży wyszły do kości / - żeby nie dożył swej śmierci / - żeby w nikim nie umarł / patrzyłaś już pieniążkami / co ci domknęły powieki". Znajduję tu więcej pamięci o zmarłych... W wierszu "Nad mogiłą Bema" jest przepiękna metafora: "orzet dziobie bandaż śniegu". A w wierszu "Obnażenie sosny" czytam: "rdzewieje na niej igliwie / mewy ob-

szywają niemi lotów".

O sobie poeta pisze w wierszu bez tytułu: "jestem już poza granicami / oczu i ust chępczących młodość / poza bieguny ud wyszedłem / nawet poza poczęcie krzyku / (...) jestem w odlocie chmur stężonych / w kamienny bruk na drodze mlecznej". I kolejny przykład ze strony 32: "kamieniem się zaryłem / w pole twego życia / (...) - nie znasz buntu głazów polnych / zakop mnie w ziemi / z której kiedyś wybuchłem / przecież mi wszystko jedno / gdzie jestem - czy jestem / jeżeli jestem - wieczną ciszą / wokół twojego istnienia". I jeszcze jeden przykład ze strony 39: "wyszedłem łódką w morze / wróć - drzazgi drewniane / spal je i ogrzej ręce / dym pójdzie w taniec żałobny / odpuść winy tym drzazgom / morze ich nie przetknęło / świt z łez mych ukreć liny / na dno padł żalu obłok / two ręce - mewy wzniesione - / trzepocą się wokół pali / ty jedna mnie za to nie wiń / że tylko oddalać się umiem".

Takie wiersze pisał poeta. Leszek Bakula umiał godzinami rozmawiać o poezji, o literaturze - miał wiedzę. Nigdy nie odwracał się od młodszych kolegów po piórze. Był rad, że jego rady były przyjmowane z pokorą. Co tu mówić: kochał poetów!

Zygmunt Jan Prusiński,
Ustka

PRZY ZAPALONYCH ŚWIECZKACH

Jednym z odleglejszych w czasie świąt Bożego Narodzenia, do jakich sięgam pamięcią, były święta 1939 roku. Miałem wówczas cztery lata i mieszkaliśmy na dalekich Kresach Polski Wschodniej, na zapadłej wsi wileńskiej.



Na tych terenach zamieszkiwały różne ludy - o różnych wyznaniach: Litwini - katolicy, Moskale - tzw. starowiercy, Łotysze - protestanci, zaś w pobliskich miasteczkach - prawie sami Żydzi. Moi rodzice byli Polakami wyznania rzymsko-katolickiego i jak przystaje na ten naród, z nadejściem 24 grudnia i pojawieniem się na niebie pierwszej gwiazdki, oczekiwaliśmy świąt Bożego Narodzenia. Przy zapalonych świeczkach na zielonej, pachnącej choince, przy ozdobionej w przepiękne cacka oraz wszelakie łakocie, ozdobionej watą niby śniegiem oraz opasanej aż kilka razy kolorowym papierowym tańcuchem. W takiej oto scenarii zasiadaliśmy do stołu wigilijnego spożywać wieczerzę, do stołu przykrytego białym obrusem, pod którym było siano, a na stole dużo różnorodnych potraw - zwykłych i niezwykłych. Na tym stole były kluski z makiem i w polewce miodowej (może to była tzw. kutia), ponadto grzybki aż w kilku rodzajach, tak samo ryba-śledzik i aż dwa kisiele - czerwony - żurawinowy i biały - owsiany. Wszystkie potrawy obowiązkowo musiały być postne. Wszystko to sprawiło nastrój doniości, uroczysty, a przede wszystkim piękny i zdawałoby się, że tylko radować się i śmiać. A jednak, kiedy mama nasza ujęła do ręki biały opłatek, aby go łamać i cząstki z niego nam - dzieciom rozdzielać, zalała się łzami i słowa wypowiedzieć nie mogła. Prosiłiśmy ją, żeby nie płakała. W końcu też zaczęliśmy płakać i pewnie nie dlatego, że w tej doniościej i uroczystej chwili nie było wśród nas naszego tatusia, bo nie powrócił jeszcze z wojny, a raczej płakaliśmy dlatego, że mama płakała. Ojca nie było, bo poszedł na wojnę bronić Ojczyzny, najpierw przed Niemcami, a potem bronił Lwowa przed nawałą bolszewicką. W tym czasie, kiedy byliśmy jeszcze przy wigilijnej wieczerzy i gdy na przemian tkaniem modliliśmy się o szczęśliwy i szybki jego powrót, nasz ojciec - jak się później okazało - uciekł z niewoli bolszewickiej i przedzierał się nocami po bezdrożach, przez bagna i moczary Polesia, podążając na północ, w kierunku domu. Szczęśliwie wrócił. Do dziś nie wiemy czy był to tylko zwykły, szczęśliwy przypadek, czy wystuchane zostały bezładnie szepcane i nie zawsze zrozumiałe słowa oraz błaganie czworo małych dzieciennych rączek, drżących i nabożnie złożonych do jakichś wielkich, świętych i niepojętych mocy. Te dwie drugie rączki były jeszcze mniejsze od moich, bo należały do mojego młodszego braciszka.

Po spożyciu wigilijnej wieczerzy te same małe rączki razem z



mamusią brały siano ze stołu, spod obrusa i zanosiły je do chlewa. Tam dawaliśmy zwierzętom. Mama po małej szczypcie kruszyła opłatek, jego kruszynki podawała krowce, konikowi i świnkom wrzucając do koryta. Opłatki świąteczne były tłoczone i wypiekane w formach, a na nich były różności - ludzkie i boskie figury, budowle, pałace, szopki, krajobrazy. Po prostu dziwny, nieznan i zaczerpnięty dla nas, dzieci świąt. Przy stole wigilijnym śpiewało się kolędy. Pierwsza zaczynała śpiewać oczywiście nasza mama. Niewiele się wtedy w naszych małych dziecięcych główkach mieściło i niewiele mogliśmy jako dzieci zapamiętać ze świąt Bożego Narodzenia. Ale cały ten świąteczny nastrój, melodie śpiewanych kolęd, błyski od mieniących się kolorów na choince, bogato zastawione niezwykłym jedzeniem stoły, wszystko to zapisało się jakoś na długo w pamięci. Na drugi dzień na pewno odwiedziła nasz dom sąsiadka, zapewne ktoś z krewnych, z dalszej rodziny jeszcze przyjechał, aby matkę pocieszyć, podtrzymać na duchu i naturalnie dowiedzieć się, co, jak i gdzie. A szczególnie, kto wrócił z wojny, gdzie i z kim się widział. Dla nas dwóch małych brzdąków najważniejsze było to, że każdy z gości, jeżeli nie garść orzechów, to parę cukierków ze stołu rzucił. Goście nie wszystko ze stołu zjedli i po ich wyjeździe zawsze na coś można było liczyć. W czasie świątowania dorosłych dzieciom było bowiem nakazane cicho i grzecznie siedzieć na piecu (były takie duże piece izbowe), a co po gościach na stole zostało, było później dla nas.

W maju 1945 roku wojna się skończyła, a w maju 1946 jako repatrianci przyjechaliśmy z Wileńszczyzny na Pomorze, na ziemię słupską. Człowiek dorastał, a z wiekiem zmieniał się blask choinek i zmieniło się znaczenie świąt. Dziś w swoim rodzinnym domu nie czynię żadnych religijnych obrządków związanych ze świątami Bożego Narodzenia, ale staram się, żeby w lodowce znajdował się zawsze grubszy kawałek dobrego mięsa, nie zaszkodzi jak na ten dzień matka, tzn. małżonka upieczone kawałek ciasta. Nieodzowna jest też butelczyna alkoholu. Poza tym przygotowuję czyste gacie, świąteczną wyjściową koszulę, pastuję kamasze, bo trzeba przypomnieć, że najczęściej w takie dni w domu trafia się jakiś gość, sąsiad czy ktoś z rodziny i wtedy trzeba być na to przygotowanym, zgodnie z polskim porzekadłem: "Czym chata bogata" lub "Gość w

dom - Bóg w dom". I chociaż od mojej ostatniej wiecezry wigilijnej minęły 62 lata, to jednak nadal słysząc takie oto echo:

"Jak wieść niesie - to wszystko co w lesie,
Od ptaka po gada - ludzkim językiem gada.
Taką mają moc w wigilijną noc,
Ja powiem więcej:
Zwierzęta co dzień do nas mówią pośród ciszy,
Tylko że dusza ludzka wszystkiego nie słyszy.

Jan Wanago, Wrzesznica

Pozostało puste miejsce przy stole

POETYCKIE DRZĘNIE

Te śliczne panie w bibliotece w Ustce nawet nie wiedzę, jaką przystupę mi uczyniły, wypożyczając (chyba) nieznaną dotąd twórczość nieżyjącej Aldonki Zak z Ustki. Wiersze jej trzymam w ręku i cały drzę...



Znałem Aldonę. Byliśmy sąsiadami na ulicy Walki Młodych. W tym samym konkursie poetyckim, w roku 1981 w Bytowie, na Turnieju Jednego Wiersza z okazji "Trzeciej Sesji Literackiej", zdobyliśmy równorzędne pierwsze miejsce, za wiersz nie tyle miłosny, co uznawany za erotyk. Po przyjeździe z Wiednia do Ustki, po 11 latach pobytu na obczyźnie, dowiedziałem się, że A. Zak nie żyje prawie rok, zmarła 29 lipca

(1991 roku). Zatem ujrawszy w maju 1992 roku w kiosku "Ruchu" jej debiutancki tomik wierszy "Przytulic światło", zredagowany przez Lidię Rebow, od razu go zakupiłem. W szybkim tempie napisałem recenzję - wstrząśnięty poniekąd odejściem poetki, i zaraz po napisaniu, osobiście zaniostem do redakcji "Głosu Słupskiego". Recenzja została opublikowana pt. "Głęboko we śnie, winna się czuje". Tę myśl wziętą z wiersza Aldony pt. "Do..." na stronie 15-tej. Potem ta recenzja, trochę rozszerzona, ukazała się w "Śladzie", firmowanym przez Oddział Związku Literatów Polskich w Słupsku.

Teraz, obok mojej maszyny do pisania, leży kilkadziesiąt wierszy Aldony Zak. Jeszcze ich wszystkich nie przeczytałem, bo drzenie we mnie jest wielkie. To tak, jakbym odgarniał jej duże i gęste włosy. To tak, jakbym chciał Jej rękę dotknąć. Widzę Ją wykolowaną, niczym folklor jesieni w liściach. Powolutku zaglądam do wiersza "Ku Jupiterom" i zatrzymuję się już na samym początku, gdzie czytuję: "Powlekam się popiołem / gdy odeszła biel gwiazdy / świecącej". Wiersz ten datowany jest na styczeń 1966 roku. Aldona pisała swoje wiersze w trakcie nauki w szkole języka polskiego. Tak napisanym wierszem jest "Wiem żeś matą" - (marzec 1966). Dużo wierszy napisała w podróży autobusem, w drodze z Ustki do Słupska - "Niech będzie" - (jesień 1963); z Ustki do Czaplina - "Obraz" - (październik 1965), z Czaplina do Słupska - "W drodze" - (27 listopada 1967), w drodze do Miastka - "Spotkanie" -



(początek maja 1967).

Oto w wierszu "Błędne ogniki", czytuję: "Ognikom nie wierzę, / Bo same nie wiedząc o tym / bywają błędne". W wierszu "Pomost": "Chciałabym ci podać rękę, / by stała się mostem, / po którym łatwiej przebrnąć / rzekę myśli". W wierszu "Osobliwa pieczęć": "Pieczęci delikatny dotyk / pulsuje, pali się piętrem / płomienia, / (...) jak słońce / dzieło sztuki wyczuli". W wierszu "Teatr poezji": "Są rzeczy nieuchwytne / jak słowa miłości pierwsze, / jak opisywanie jej w wierszach. / Taki jest Teatr Poezji". W wierszu "Witraże": "Bóg Ojciec chimery / skrętami zawoła. / I oplotą cię one swoimi włosami, / wydawać ci się będzie / że to sen".

Są to zbitki wyrwane z całości, ale chciałem ukazać jak ważne są w poezji Aldony Zak kolory światła, barwy, które je otaczają. Nie zapominajmy, że Aldona była też malarką. Wiersze z okresu młodości, z lat 1963 - 1965, są początkiem jej kariery. Ukazały się tylko gdzieś w luźnych publikacjach. Aldona nie dbała o to, by ukazywały się drukiem. Może była pewna długiego życia, i sama swoją poetycką twórczość poukładałaby po swojemu. Niestety, znikła jak lekki puch, zostawiając (swoją świat), który chciała swoimi słowami opowiedzieć.

Zygmunt Jan Prusiński
Ustka

Opowiadanie

MÓJ PRZYJACIEL KLEZMER

Pomost był prymitywny, ale z solidnych bierwion i wbudowany w głąb jeziora daleko poza trzcinę, gdzie kończył się dużym pokładem. Sebastian trzymał niezgrabnie wędkę, którą mu pożyczylem i nie patrzył na sptawik. Sobie zostawiłem spinningową z zepsutym kołowrotkiem, ale zachowywaliśmy się tak, jak byśmy chcieli coś złowić.



- Pobędziesz trochę u mnie? - zapytałem.
- Nie dłużej jak do czwartku - odparł Sebastian.

- Dobrze to.

- Ładnie się tu urządziłeś - spostrzegł głośno. - Blisko las, jeziora, ostoja spokoju.

Tak sobie gawędziliśmy, popijając piwo, a że był moim przyjacielem od wielu lat, tematy nasuwały się same w sposób bezpretensjonalny.

- Tu cisza aż śpiewa - zauważył.

- Jesteś muzykiem i wiesz, co mówisz.

- Tak - odparł w głębokim zamyśleniu. - Tak.

- Komponujesz nadal?

- Już nie. Nie mam na to czasu. Bardzo dużo gram.

- A co z tym waszym sekstem? - zapytałem. - O ile dobrze pamiętam, odnosiliście sukcesy.

- Było tak w swoim czasie. Basista i ta ruda wiolonczelistka wyjechali potem do Francji i wszystko się rozpadło - odparł nostalgicznie.

Dużo wiedziałem o Sebastianie jako o muzyku. Imponował mi dogłębną znajomością niuansów muzycznych i na zawsze zapamiętałem, że alla stretta to przeciwieństwo do calando i że pośrodku jest andante.

- Tu w ogóle są ryby? - zapytał Sebastian.

- Muszą być. Przecież to jezioro.

- Dobrze tak sobie posiedzieć - powiedział. - Mamy jeszcze piwo?

Zanim wyniosłem się na to pustkowie, mieszkałem w S., w tej samej dzielnicy co Sebastian i wspominaliśmy ten okres rozpamiętując te wydarzenia, jakie nas obu dotyczyły, a muzyczny talent Sebastiana często powracał w tych wspomnieniach. On był naprawdę dobry.

- Jesteś szczęśliwy z Jadwigą? - zapytałem.

- Dobrze nam się wiedzie. Ciągłe kocha Bacha. Nie opuszcza żadnego wydarzenia muzycznego.

Pomilczeliśmy trochę.

- Kończymy teraz dom - powiedział potem. - Same kłopoty.

- U ciebie chyba bierze, Sebastian. - Sławkę na jego wędecku zakotyła się.

- Daj spokój - odpart. Spoglądał ponad lustrem wody na przeciwległy brzeg jeziora.

- Wracamy? - zapytałam.

- Nigdy się już nie wróci - odpart filozoficznie i próbował się uśmiechnąć.

W drodze powrotnej mówił o organach jakiejś renomowanej firmy i że musi je mieć za wszelką cenę, bo miały ponoć najbardziej aksamitne timbre, jakie można sobie wyobrazić.

- Koniecznie muszę je mieć

- Drogie? - zapytałam.

- Drogie. Ale muszę je mieć.

Od roku Sebastian grał reguim w kaplicy cmentarnej. Pogrzebów w S. było coraz więcej i grał to reguim po kilka razy dziennie na mocno już wystużonych organach, więc ta nieodparta chęć kupna nowych wcale mnie nie dziwiła. Zarabiał bardzo dobrze, ale byłem przekonany, że ten bardzo drogi zakup nigdy mu się nie zwróci.

Lechostaw Cierniak



EKSPERYMENT GŁUCHEJ BLASZKI



Bartosz Muszyński nie był na moim wieczorze autorskim w Domu Kultury w Ustce, ale ja byłem na jego wieczorze.

Otrzymałem zaproszenie na jego wieczór osobiste wręczone mi przez pracownika tej placówki, u mnie w domu. Czytam: „Młodzi jesienią - poezja, wieczór autorski: Bartosz Muszyński, muzyka elektroniczna - Marcin Dymiter, 22 listopada 2003 roku, o godz. 18.00, Dom Kultury w Ustce, ul. Kosynierów 19”. Na drugiej stronie: „Bartosz Muszyński - ur. w 1974 roku. Poeta, autor tomików „Języki obce”, (Warszawa 1999) „Kajmany”, (Warszawa 2000) „Gwiazdoblaki”, (Kraków 2001) i „Lane limbo”, (Warszawa 2002). Mieszka w Ustce”. A na dole, jego wiersz pt. „Świat, wersja dla początkujących”.

Muszyńskiego poezję znam, mam jego tomiki, przez autora osobście podpisane. O „Gwiazdoblakach” napisałem esej, w którym uwypukliłem swoje uwagi krytyczne. Ale wróćmy do spotkania w Ustce. W głównej sali Domu Kultury zasiadło około 40 osób. Przybył nawet sam burmistrz Ustki, Jacek Graczyk, co dobrze zapewne o nim świadczy, widocznie jest już, albo chce być dopiero sympatykiem młodej poezji...

Program spotkania został podzielony na dwie części. W pierwszej autor sam czytał swoje wiersze, na tle muzyki. W drugiej - Marcin Dymiter grał swoją muzykę. Obecnie ten młody muzyk mieszka w Gdańsku, choć pochodzi ze Słupska... Zaczął od nieczystego wstępu, który zaprowadził wszystkich zebranych w sali jakby do piekielnej łatki. Nazwałem to, co usłyszałem muzyczną corridą. Jakby rynną biła o rynnę.

I na tym tle Muszyński, ze swoim słabym głosem gdzieś nikt i przybliżył się. Poeta czytał: „Najpierw woda, później piach - w międzyczasie, ogień”..., „Znaki, dają się we znaki”. Siedząca obok mnie starsza kobieta w siwych włosach złapała się obydwoma dłońmi za uszy. Jakby chciała je zakryć, przytłumić ten dziwny, dochodzący do niej głos. Zaraz pomyślałem sobie o niej, o, miła pani, to nie są pieśni wojenne spod Waterloo! Mamy tu do czynienia ze zgrzytami, pitowaniem, wyścigami detonacji...

Gdy poeta zaczął czytać wiersz „Pocztówka z Lizbony” pomyślałem akurat o pocztówce z Ustki, którą miałem wysłać do Inowrocławia, do sanatorium „Energetyka”, do mojej, nie mojej Brygidy, znaczy się kobiety z którą obecnie żyje i która przebywała tam w tym czasie na terapii. Po chwili zamyślenia nad inną pocztówką, niż chciał zapewne autor czytanej wiersza, wróciłem do ponownego słuchania. Ale akurat Muszyński przestał czytać. Mimo to jakbym nadal słyszał ten jego ochrypły bas, który jakby chciał się na chwilę zatrzymać, choć autora na scenie już nie było. Wyszukiwania, łączenie tekstu z dziką apokalipsą na scenie. Te zrywy, te jęki, to masowe niepokoje u odbiorcy, wręcz ukazywało się: wirus światła, dźwięku, mowy. I w tym całym zagęszczeniu był mały, nieporadny człowiek. Słabszy od muchy, od komara.

Czy taka poezja i taka prezentacja zdała egzamin, nie wiem. Ja rozumiem, że poeta Bartosz i muzyk Marcin chcą pewnie wspólnie swoimi pomysłami wytworzyć sztukę w formie undergrunt... To są oczywiście próby. Na jak długo i czy pomyślnie dla ich obu, pokaże czas. Czego jak czego, ale zgodnej ekspresji obu nie brakuje.

Zygmunt Jan Prusiński, Ustka

WYRÓŻNIONY!



Grzegorz Chwieduk z Kępcie został laureatem Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „Nie pochłonie nas ekran”. Konkurs zorganizowało Koło Literackie przy Klubie Nauczyciela i Zarządzie Okręgu Wielkopolskiego ZNP z Poznaniu. G. Chwieduk otrzymał wyróżnienie za wiersze „Na imieninach” i „Po śmierci żony”.

Uroczyste ogłoszenie wyników konkursu i wręczenie nagród odbyło się 8 listopada br. w Sali Białej Urzędu

Miejskiego w Poznaniu. Nagrodzone utwory opublikowano w książce pt. „Słowo przed ekranem”. Jury przewodniczył Paweł Kuszczyński, a książkę wstępem opatrzył znany poeta Sergiusz Sterna-Wachowiak. - Jeden z wyróżnionych, jak ja laureatów, 41-letni Piotr Baronowski z Warszawy zmarł w przeddzień poznańskiej imprezy. Mimo to, spełniając wolę syna matka poety przyjechała do Poznania. Od niej wiemy, że krótko po śmierci P. Baronowskiego urodziło mu się dziecko. W obliczu tego nieszczęścia szczególnie „mocno” zabrzmiały słowa moich wierszy, w których jest mowa o śmierci bliskich osób - napisał do „Wsi Tworzącej” G. Chwieduk z Kępcie. - Poza tym P. Baronowski miał tyle samo, co ja mam lat. Jego matka przekazała wszystkim najnowszym zbiorom syna z 2003



roku, pod wymownym tytułem "Nie zdążę". Jeszcze na kilka dni przed 8 listopada zrobił do niego dedykację (z)

Grzegorz Chwieduk, Kępice

Po Śmierci żony

Taki zrobił się niedostępny po śmierci żony właściwie to pół człowieka przestał chodzić do kościoła przestał gdziekolwiek wyjeżdżać jego dwaj mali synowie nie rozumieją sytuacji ojca który nie może poradzić sobie z prostymi rzeczami jak pranie gotowanie kupowanie ubrań Ojciec zrobił się nerwowy miesiąc temu zepsuł się telewizor ale to dla niego pestka nie stara się o naprawę a jeszcze nie tak dawno zepsuty telewizor był traktowany jak człowiek samotny ojciec z dwójką dzieci nie żartuje już w sklepie synowie starają się figlarnie pocieszyć tatusia ale tatuś nie umie udawać choć wie że jest jeszcze bardziej potrzebny dzięki temu na życie patrzy z perspektywy jakżeż doświadczonego i nawet wymyśla historie nie z tej ziemi no bo gdzie to podobne żeby unikał sąsiadów albo żeby bliższa i dalsza rodzina nie chciała mu pomóc sęk w tym że on o tę pomoc nie zabiega.

Pierwszy raz na łamach „Wsi Tworzącej”

EDYTA MIELEWCZYK



Ma 26 lat, jest mężatką i mamą dwóch małych synków, z którymi mieszka w Głównych. Uwielbia śpiewać, a układaniem wierszy zajmuje się od 12 roku życia. Lubi rozmawiać z ludźmi na ich życiowe problemy i chciałaby wszystkim pomóc, ale przekracza to jej możliwości. Sama jest w dużej potrzebie, szuka pracy. Więc chociaż dobrym słowem stara się sobie i innym życie upiększyć. (z)

Aby to naprawić
Zebyś znowu mogła się narodzić
Polsko, nasza kochana

Jest tak dobrze...

Biedni są wśród nas
Mroczni i zmęczeni
To koniec...
Odejść czy zostać?
Widząc ten świat
Mam jedno pytanie:
Ile sił jeszcze potrzeba
Aby znieść cierpienia?

Droga życia

Idę - zawsze tą samą drogą
Staram się nie oglądać
za siebie
Dokąd idę?
Co może mi przynieść
Nowy dzień?
Czy dobrą drogą krążę
Po jasnej ścieżce życia?
Codziennosc taka sama
Tylko zegar zmienia godzinę
A wiatr - kierunek

Nasza ziemia

Polsko - Ty ziemi
Ojczysto
Tyle trudu znosisz
A jaką odwagą tryskasz...
Ludziom dasz
życie wspaniałe
Nie uszanowali...
Ile trzeba znowu starać

BEATA SZCZESNA



Urodziła się w Makowie Mazowieckim. Studiuje na Akademii Pedagogicznej w Słupsku. Pierwszy wiersz napisała w wieku 11 lat, zatytułowała go „Moja wioska”. Okres jej zainteresowania poezją przypada na lata tzw. młodzieńczego buntu. Była wtedy licealistką i chciała w jakichś sposób pomóc swojej zranionej duszy. Potem kilka razy wystąpiła swoje wiersze na konkurs „O wstęgę Orzyca”, ale nigdy nie zdobyła w nim nagrody. Dopiero w 1999 roku została doceniona w konkursie zorganizowanym przez „Kalendarz Supernastolatki” i Wydawnictwo „RYTM”. Otrzymała wówczas wyróżnienie. (z)

Polemika z ziemią

Czym jest ziemia?
Planetą w układzie słonecznym.
Miejscem pracy i odpoczynku,
przyjemności i zanawy,
zbiorowiskiem ludzi o różnych poglądach,
paletą różnorodnych barw.
Ziemia.
Bagno z wystającą ręką.

Burza, której nie ma końca.
Potok słów, które ranią.
Krater odepchniętych uczuć.
Ludzie, którzy mówią: „nie chcę cię”.

Jedynym rozwiązaniem jest ustąpienie
wszystkiemu i wszystkim.

Słyszysz? Potok szumi.
O czym?
O dawnym Świecie, o tym co go zniszczyło.
Słyszysz? Mówię.
O czym?
O dawnych Czasach, o tym, co kochałam,
o tym, co mnie zraniło.
Słyszysz? Świat idzie z postępem.
Ty też?
Nie, ja zastygam, ja zostaję.
A gdzie ten postęp?
Tam, gdzie są wszyscy z wyjątkiem Ciebie.
Słyszysz? Słońce się śmieje.
Dlaczego?
Bo ci, którzy zostają, zbudują nowy świat.
Jaki?
Lepszy - oparty na uczuciach.

Narodziny

Zwyczajny mroźny dzień.
Jeden krzyk - nie wiem czyj.
Jestem - nie wiem po co.
Już żyję, trwam - dla kogo?
Ja nadal jestem,
nadal jestem
i nikt mnie nie rozumie.

I znów zwyczajny mroźny dzień.
I krzyków wiele (lecz czyich - nie wiem).
I już mnie nie ma - jak cieszę się.
- Bóg... mnie ...
Szoda, że tak późno...

EUGENIA ANANIEWICZ

Jest 67-letnią emerytką i od 1974 roku mieszkanką Słupska. Wychowała czworo dzieci: trzech synów i jedną córkę. Jest dumna z tego, iż wszyscy synowie służyli w wojsku; każdy w innej formacji. Obecnie z mężem przebywa czasowo w Kępicach. Mimo swego wieku stara się żyć jeszcze aktywnie.

Boże Narodzenie

„Bóg się rodzi”
co to dla Ciebie znaczy?
oczyszczenie duszy
Czy tylko nawet pracy?

Zatrzymaj się, zastanów
co Cię dawniej radowało,
było więcej miłości
a prezentów mało?

Pamiętam choinkę
pachnącą jabłkami,
na podłodze słomę
a na stole siano.

Ciastka pieczone
w piecyku domowym,
Mikołaja z brodą
na pierniku firmowym.

Rodziców rozmodlonych
nad strawą wigilijną,
i smutnego sąsiada
co czuł się jak z rodziną.

Kolegujących sąsiadów
jedna wieś łączyła się z drugą,
kolędy religijne i świeckie
brzmiały radosną nutą.

Dziś we własnym domu
mało kolęd śpiewamy,
o samotnych sąsiadach
już nie pamiętamy.

A wystarczy róg stołu
talerz z barszczem czerwonym,
zyczenia zdrowia, pomyślności
by się nie czuł osamotnionym.

Zaproś kogoś na godzinę
zaśpiewaj „Bóg się rodzi”,
On każdy czyn zapamięta
i odpowiednio nagrodzi.

Albo pójdz z opłatkiem
i złóż życzenia,

Legenda

DLACZEGO POBŁOCIE?

Od dnia, kiedy młody żeglarz Arcim opuścił leśną osadę minęły trzy długie lata. W chacie zostawił młodą żonę, Wedę i dwie córki: Jagodę i Kalinkę.



Los morskiego wilka bywa kapryśny. Arcima rzucił do dalekiej Norwegii, przepięknej, dzięki krainy fiordów. Nagromadził Arcim prezentów dla żony i córeczek, oj nagromadził. Chustę wełnianą w kwiaty, serdak z owczej ciemnej i białej wełny. Sznury koralu z bursztynów dla dziewczynki.

Zbliżyły się Święta Bożego Narodzenia, plaża w łebie złociła się jeszcze złotym piaskiem odbijającym się od ciemnej zieleni przybrzeżnych sosen. Arcim wracając mijął czerwieńjące liściem bukowe lasy, zeschłe wrzosowiska. Spod nóg wyskakiwały mu zające, kuny. Płochliwe sarny kryły się w gęstwinie. Jelenie z dziwnie pięknymi oczami spoglądały na człowieka obładowanego podróżnymi workami.

Przyśiadł więc Arcim w lesie i zdrzemnął się nieco. Przyśnił mu się rodzinny dom, córeczki oraz stara kobieta z czarnymi oczami, która szturchając go kosturem starała się go obudzić. Wstał i jeszcze oszołomiony zbliżył się do chaty. Nagle ustyszał głośny płacz kobiety wołającej o pomoc. Biegąc i potykając się o korzenie zobaczył obraz tonącej w bagnie żony i przeraźliwy krzyk Jagody i Kalinki. W ostatniej chwili odłamał gruby kij i podał go żonie, która po nim wyszła z bagna i rzuciła się mężowi na szyję. To samo zrobiły zaraz Kalinka i Jagoda.

W wysprzątanej świątecznej izbie, na podłodze z sosnowych desek pozostały ciemne ślady po lepkiem błocie. Ponieważ kobiety z kaszubskich rodów odznaczały się zamiłowaniem do czystości, Weda myła podłogę śpiewając:

Zbierając żurawiny, po bagnie, po błocie / Ciągłe w smutku, tęsknocie / Czekając na ciebie, miły / Te złociste koralu i ta chusta jedwabna / Nocami mi się śniły. / Najbardziej zaś wyraźnie widziałam twe siwe oczy / Wróciłeś mój Arcimie, powróciłeś. / Wraz z tobą radość do checzy.

Leśna osada z powodu tej przygody została nazwana Pobłociem. Potomkowie Wedy i Arcima wybudowali domy, posadzili sady cerezoniowe. Droga do łeby została wybrukowana polnymi kamieniami. Kiedy zaświeci srebrny księżyc, stara sowa opowiada przygodę Arcima, a wiatr niesie ją daleko, daleko. Stara grusza opowiada jabłoni, jabłoń leszczyńnie. Do dziś wieść tę słychać: „Po bagnie, po bagnie / gnamy wielką tęsknotę, / wrócił Arcom w swe strony / do córek, do żony.

Emilia Zimnicka, Izbiica

Katarzynie Skwierz
z Budowa wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci Taty składają koleżanki i koledzy
z grupy „Wtorkowe Spotkania Literackie”.
Katarzyna była na spotkaniu w Starostwie Powiatowym w Słupsku.
Po powrocie do domu dowiedziała się, że tata jej już nie żyje.
Cóż, tak to już jest, że Bóg szczególnie doświadcza tych,
którzy starają się służyć innym ludziom.

„Wieś Tworząca” – Dodatek Literacki do „Powiatu Słupskiego”.
Redaguje: Grupa Wtorkowe Spotkania Literackie w składzie:
Zbigniew Babiarz-Zych (przewodniczący), Henryka Jurałowicz (Człuchy), Sylwia Mackus (Ustka), Irena Peszkin (Mielno k. Koszalina), Przemysław Gac (Słupsk), Grażyna Pokuć (Darżyno), Zygmunt Jan Prusiński (Ustka), Terese Opacka (Ustka), Jan Wanago (Wrzesńnica), Emilia Zimnicka (Izbiica). Adres redakcji: Starostwo Powiatowe, 76-200 Słupsk, ul. Szarych Szeregów 14, Wydział Rozwoju, Promocji Powiatu i Zdrowia, tel. (059) 842-54-17, www.powiat.slupsk.pl